

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMI.

18)

Tłum. z francuskiego.

Pewnego poranka Liana de Valoys siedząc w swej ubieralni — podnosiła swą naturalną piękność sztucznymi środkami, których zresztą potrzeba nie dawała się jeszcze odczuwać.

Na toalecie rozłożone były najrozmaitsze przyrządy, w kosztownych oprawach ze starego srebra, z monogramami, cały arsenał kobiety, która go używa, by, pomimo biegnących lat — utrzymać czar i urok młodości.

Od jakiegoś czasu, pewne drobne poszlaki, które nigdy nie mylą kobiety — wskazywały Lianie, że Ferdynand, jej piękny kochanek — zaniedbuje ją. Dotąd miała tylko podejrzenia, drobne i nic nieznaczące, ale zazdrość męczyła ją straszliwie. Chciała zatrzymać przy sobie niewiernego i pragnęła uczynić się tak piękną i czarującą, żeby nie był w stanie opuścić jej.

Wczoraj oczekiwała napróżno do północy — nie przyszedł. Przewracała się na łóżku, płacząc ze złości, nie mogąc zrozumieć, czemu ją naraził na taki zawód. Czy przyjdzie teraz? Drżała z niecierpliwości. Wybiła jedenasta. Liana miała ochotę rozpłakać się, gdy nagle usłyszała turkot automobilu, który po chwili zatrzymał się przed jej domem. Prawie natychmiast odezwał się dzwonek elektryczny. To Ferdynand. Nie widziała go, ale była tego pewna. Serce biło jej szalenie — oddychała z trudnością. Ale była zbyt dumna, żeby okazać to kochankowi. Nie poruszyła się więc i z pozornym spokojem czerniła dalej brwi. Na schodach rozległy się ciężkie kroki — możnaby pomyśleć, słysząc je, że idzie starzec — kroki te zbliżyły się i uciły na progu ubieralni.

— Czy to ty, Justyno? — zapytała Liana obojętym głosem, odwracając się.

— Nie, to ja! — odparł głos szorstki i dobrze znany. — Mówiąc to, piękny Ferdynand rzucił ze złością panamę w kąt pokoju, opadł ciężko na fotel i bezmyślnie patrzył w podłogę.

— Cóż to? — rzekła Liana, wciąż nie odwracając się i śledząc każdy ruch kochanka w lustrze.

— Cóż to? Już się mnie nie całuje?

Ferdynand odpowiedział wzruszeniem ramion. Wyjął srebrną papierosnicę i zapaliwszy egipskiego papierosa — zaciągnął się parę razy.

Zdziwiona tem milczeniem — Liana odwróciła się wreszcie. Przestraszyła się, ujrawszy zmienioną twarz kochanka.

— Co się stało? — zapytała z niepokojem, podchodząc i siadając mu na kolanach.

— Ach! Daj mi spokój — odparł, odręczając ją gwałtownie. Dużo mi z tego przyjdzie, jeżeli ci powiem, co się stało!

— Znowu grałeś, prawda?

— Tak, grałem — odparł chmurnie; — znowu grałem, jak raczyłeś powiedzieć. I cóż z tego? Mam nadzieję, że nie będziesz mi robiła wyrzutów...

— Ach, mój drogi! — zawołała z rozjaśnioną twarzą — to głupstwo, wcale się tem nie martwię!

— Przegrałem bardzo dużo — mruknął przez zęby, krzywiąc się.

— Naprzykład?

— Pięćdziesiąt tysięcy.

Młoda kobieta podskoczyła, twarz jej spochmurnała.

— Nie możesz mi tyle pożyczyć?

— Nie... nie mam tyle — wyjąkała Liana.

— Dobrze, odmawiasz mi — rzekł chłodno. —

Tak przypuszczałem. Nie mówmy o tem, zwróć się gdzieindziej.

— Do kogo? — zapytała Liana ze ściśniętym sercem.

— Do twojej przyjaciółki, Violetty... Nie od-

mówi mi...

Podniósł się, poszukał kapelusza, chciał odejść.

Było to zerwanie.

— Nigdy! — krzyknęła Liana, sadzając go przemocą na fotelu. Nigdy! Nie pójdziesz do tej ko-

biety... Przysięgnij mi, że nie zobaczysz się z nią

nigdy, a dam ci te pięćdziesiąt tysięcy.

— Ależ mówiłaś przed chwilą, że nie masz.

— Znajdę.

— Jakim sposobem?

— Sprzedam moje klejnoty...

— Zrobisz zły interes, moja droga, stracisz na

tem, conajmniej połowę. Nie, nie — można to lepiej urządzić.

— Nie rozumiem.

— A Vanesco? Zapomniałeś o nim? O! czegoż

ou jest?

— Vanesco? Ależ on mi dał w tym kwartale

masę pieniędzy, wiesz o tem dobrze...

— To nic nie znaczy.

— Przytem on jest zrujnowany, biedak.

— A, tak! Bankructwo jego teścia. Ba, cóż z tego! Przecież niepodobna, żeby nie miał dla ciebie jakiej rezerwy.

— Masz rację. Będę u niego popołudniu.

Widząc, że młody człowiek bierze kapelusz, zapytała:

— Jakto, już idziesz? Nie będziesz jadł ze mną śniadania?

— Nie mogę — Max czeka na mnie o dwunastej w klubie.

— A! — rzekła Liana z rozczerwaniem. — Kiedyż się zobaczymy?

— Kiedy zechcesz.

— Więc dziś wieczorem, napewno, przyjdź jak najwcześniej. Pocałuj mnie, mój drogi. Przysięgam ci, że nie wyjdiesz stąd z próżnymi rękami.

Tryumf zaświecił w chłodnych oczach Ferdynanda, odpowiedział bez zapału na namiętny uścisk kochanki. Co znaczyła dla niego miłość tej kobiety? Najgłośniejszą rzeczą było to, że dostał obietnicę „pożyczki“.

Myśląc o tem, schodził powoli ze schodów. Gdyby był mniej zajęty myślami, mógłby zauważyć zgrabną sylwetkę Justyny, która na kilkanaście sekund przed nim zbiegła ze schodów, z pośpiechem, który zdziwiłby kogoś nawet mało podejrzliwego.

Subretka, wierna swym przyzwyczajeniom — podsłuchiwała pode drzwiami. Gdy piękny Ferdynand zeszedł ze schodów, Justyna wspięła się na palce i zdejmowała z wieszadła jego okrycie. Wyglądała tak ponętnie w swej krótkiej spódniczce, odsłaniając zgrabne nogi, że Ferdynand, zapominając o swych kłopotach, pochwycił ją wpół i pocałował w szyję.

— Och! — krzyknęła pokojówka tonem, z którego niepodobna było zrozumieć, czy zdziwił ją ten pocałunek, czy ucieszył.

— Cicho! — odparł na to szeptem młody człowiek. I zamknąwszy jej usta nowym pocałunkiem, dodał:

— Niedługo wrócę. Twojej pani nie będzie w domu. Mam ci coś powiedzieć.

ROZDZIAŁ II.

Czarne motyle.

W. K. Stephenson, wydając swą córkę za mąż, pomyślał o wszystkim. Chciał, żeby jego zięć miał książęce mieszkanie, które wprowadziłoby w podziw cały Paryż.

Dom doktora Vanesco przy arenie Kleber był bardzo elegancki, ale nie wystarczał miliardarowi. Poszukał więc czegoś lepszego.

Wybrał rezydencję wspaniałą, prawdziwy pałac królewski, zbudowany nakładem ogromnych kosztów przez dawnego cesarza Meksyku w okolicy Gwiazdy — w czasie, gdy po rewolucji, która pozbawiła go tronu — postanowił resztę życia spędzić w Paryżu. Od wielu lat, od śmierci starego monarchy — pałac ten był do sprzedania. Ale nikt nie zgłaszał się. Potrzeba było do tego kaprysu milionera. Milioner zjawił się w osobie W. K. Stephensona, który kupił pałac i uwił w nim gniazdko, dla swych dzieci.

Niestety, w gniazdku tem nie było szczęścia.

Biedna Zuzanna przypuszczała, że za swe miliony kupi szczęście. Szczęścia nie można kupić. Powtarza to sobie teraz młoda kobieta, siedząc przy oknie w jednym z pokoiów swego olbrzymiego królewskiego pałacu, w którym czuła się tak samotną i opuszczoną. Jakże zmieniła się od czasu, gdyśmy ją widzieli wychodzącą z kościoła Świętej Magdaleny, z twarzą błyszczącą radosnym uśmiechem, przytuloną do ramienia męża, którego kochała, marząc o szczęściu.

Pozostał z niej cień. Błada, wychudła, siedzi całemi dniami przy oknie, zagłębiona w swych smutnych myślach. Przypomina sobie wszystkie troski, zgrzyoty, zawody, nieszczęścia.

Wreszcie wiadomość o katastrofie finansowej, i o samobójstwie ojca. Przerzywa to wszystko na nowo w myślach.

Ach! gdyby miała się z kim podzielić swym bólem, gdyby mogła wypłakać się na czyjejs piersi! — Ale była sama, nie miała nikogo. Od kilku miesięcy siostra jej bawi w Ameryce, gdzie z całą zimną

krwią i inteligencją, zadziwiającą w jej wieku, stara się uratować resztki fortuny ich ojca. Pomimo serdecznej przyjaźni, jaka łączy siostry, listy z Ameryki są rzadkie. Ostatni zresztą przyniósł dobrą wiadomość: zapowiedź rychłego powrotu młodej dziewczyny. Być może, iż już wylądowała w Europie.

Na myśl o tem Zuzanna wzdycha głęboko. W oczekiwaniu na przyjazd siostry, może nieprędko jeszcze — musi cierpieć w samotności. Mąż jest bardzo ostry dla niej.

W początkach małżeństwa wszystko było dobrze. Vanesco był uprzedzająco grzeczny i okazywał nawet przywiązanie. Ale stopniowo odsuwał się od niej, a w dniu, kiedy się dowiedział o katastrofie, opuścił ją zupełnie.

Biedna Zuzanna nie mogła bez drżenia myśleć o brutalnej scenie, jaka miała miejsce po otrzymaniu wiadomości o samobójstwie jej ojca.

Poszła wówczas do niego po pociechę w swym bólu. Vanesco odepchnął ją grubiańsko i zapomniał się do tego w gniewie, że podniósł na żonę rękę.

Od tego dnia życie stało się nie do zniesienia. Mąż począł nienawidzić ją za zawód, jakiego doznał jego marzenia o wspaniałym życiu: mścił się na nieszczęśliwej kobiecie z wyrafinowaną zaciętością.

Zuzanna była zbyt dumna, żeby skarżyć się. Wobec znajomych, wobec służby tych dwoje, którzy nienawidzili się — stanowili parę, żyjącą w doskonałej zgodzie.

Stopniowo Vanesco począł powracać do swej dawnej kochanki, Liany de Valoys, z którą tak demonstracyjnie zerwał przed ślubem.

Zdarza się czasem, iż myślimy o kimś i w chwilę później widzimy tego kogoś, jakkolwiek nie spodziewaliśmy się tego wcale.

W chwili, gdy Zuzanna, idąc za biegiem swych myśli wymówiła z goryczą nazwisko kochanki swego męża, usłyszała nagle dźwięk trąbki automobilowej. Drgnęła i machinalnie wyrzała przez okno. Ujrzała Lianę de Valoys we własnej osobie, podjeżdżającą we wspaniałym automobilu do pałacu.

Młoda kobieta nie mogła powstrzymać okrzyku zdumienia.

— Ach! co za bezczelność! Przyjeżdża do mego domu!

Zerwała się na równe nogi, zaczerwieniona, drżąc z gniewu. Szukała instynktownie szpicruty, laski, czegokolwiek, czem mogłaby obić tę bezczelną dziewczynę i kazać ją wyrzucić za drzwi. Ale nagle zatrzymała się: gniew jest złym doradcą. Co uzyskałaby przez ten gwałtowny postępek? Lepiej będzie dowiedzieć się, w jakim celu przyjechała tu ta kobieta? Jakiś instynkt uprzedził młodą Amerykankę, że w tej niespodziewanej wizycie ukrywa się jakieś niebezpieczeństwo.

W jednej chwili zdecydowała się, jak ma postąpić. Otworzyła ostrożnie drzwi i bez szmery wyszła na schody. Tu rozejrzała się i nie widząc nikogo, zeszła na dół. Z tysiącami ostrożnościami otworzyła drzwi z prawej strony i weszła do wielkiego salonu, który łączył się z gabinetem doktora. Drzwi, prowadzące do tego gabinetu, zasłonięte były ciężką portierą. W fałdach tej portiery ukryła się Zuzanna.

Zaledwie to uczyniła, usłyszała, jak w sąsiednim pokoju otworzono i zamknięto drzwi i w tej chwili rozległ się zdziwiony głos doktora:

— Ty? Ty? tutaj?

ROZDZIAŁ III.

Zły geniusz.

— A tak, to ja! — odparła Liana, wybuchając śmiechem. Przyjechałam oddać ci wizytę. Cóż w tem tak dziwnego?

Vanesco stał przez chwilę nieruchomo, blady, zaskoczony. Pytał sam siebie z niepokojem, czego może zażądać od niego ta kobieta, z której szponów nie był w stanie wyrwać się. Musiało być coś bardzo ważnego, skoro aż tu przybyła. — Wyjąkał z trudnością:

— Tu... tu...

Poczem podbiegł szybko do drzwi i zajrzał do salonu. Wiedział z góry, że rozmowa będzie burzliwą. W salonie nie było nikogo. Zamknął na klucz drugie drzwi, żeby nikt nie mógł przeszkodzić.

— Musiałam przyjechać do ciebie — mówiła tymczasem Liana, uśmiechając się ironicznie, — skoro ty do mnie nie chciałeś.

— Sądę — rzekł sucho Vanesco, że nie potrzebujemy bawić się w komplementy. Powiedz mi odrazu, po co tu przyjechałaś...

— Nie jesteś bardzo elegancki — rzekła Liana, przymykając oczy.